

Z TEATRÓW STOLICY

WOJCIECH NATANSON

Wyprawa w krainę trudności

Irena Jun-Wieczorek, utalentowana aktorka, recytatorka i reżyser, jest entuzjastką twórczości Rabelais'go. Wiedzioną podziwem postanowiła inscenizować „Gargantue i Pantagruela” w warszawskim teatrze „Studio” w tłumaczeniu Boya. Zadanie było jednak niełatwe. I to z wielu względów! Im oryginalniejsze i bardziej niezwykle jest dzieło literackie, tym trudniej je przenieść w inną rzeczywistość, przybrać w nowy kształt artystyczny.

„Gargantua i Pantagruel” tę zasadę potwierdza. Utwór zrodzony w określonym momencie historycznym, na przełomie epok cywilizacyjnych, ożywiony dążnościami polemicznymi i mocnym przekonaniem, pisany wiele lat, przeobrażający się organicznie — ma kształt bardzo specyficzny. Gdy Anatol France przenosił na scenę jeden z epizodów „pantagruelicznych”, anegdotę o człowieku, który poślubił niemowę, napisał na ten temat własną komedię, pełną werwy i dowcipu. A mało kto znał tak przenikliwie twórczość Rabelais'go, jak autor „Zbrodni Sylwestra Bonnard”.

Irena Jun-Wieczorek dostrzegła w mitach Rabelais'go bogate inspiracje plastyczne i teatralne. Pragnęła też, zapewne, dostosować swą pracę do form wypracowanych w teatrze „Studio”. Zastosowała środki widowiskowe, pobudzające wyobraźnię, stwarzające nastrój niezwykłości. Dzieje się to już w prologu, mówionym w foyer przed wejściem publiczności na widowie. Ruchoma gra obrazów, stosowana przez scenografów, Jerzego Kalinę i Małgorzatę Maliszewską, wywiera wrażenie. Jednak działa tu pewien paradoks.

Istotą pisarstwa Rabelais'go jest słowo. Rozkoszował się jego bujnością Boy. W odczycie swym, wygłoszonym na Sorbonie, mówił, że to Brantôme zbliżył go do twórcy „Gargantui”. „Był to” — wyznawał twórca „Słówek” — „nowy paroksyzm szczęścia”. „Zapewniano nas, że kto nie tłumaczył Rabelais'go, nie zna przyjemności życia. Śmiałem się do rozpuku, wymyślając polskie terminy językowe, odpowiadające całemu smakowi tych olbrzymich a genialnych fars”. Adaptatorka „Gargantui i Pantagruela” wiernie temu stylowi służy. W rezultacie jednak, próba „przełożenia” tekstu utworu na formę widowiskową kończy się długimi — a nawet rozwlekłymi przemówieniami. Słowo wypiera wszelki zarys działania. Dyskusja na temat dobrych i złych stron żeniaczki, zabawna w lekturze, na scenie razi monotonią stale powta-

rzanych nadziei, wątpliwości, lęków.

Dla Ireny Jun, dobrej inscenizatorki „Po górach, po chmurach” Brylla, było na pewno pociągające nawiązanie do form ludowego widowiska, bufonerii i farsy. Jest w spektaklu rola, której wykonawca wykorzystuje liczne wersje zabawy: mimicznej, pantomimicznej, słownej, prawie „baletowej”. To Panturg prezentowany przez Wiesławę Drzewiczą z wielką sprawnością, pomysłowością, rozmachem, humorem, wytrwałością. Ale nawet te środki wyczerpują się w trakcie scen, stale powracających do podobnego motywu.

W pewnym momencie zaskakuje nas gra Czesława Nogackiego, jako Jana Lamignata. Zabawne są jego przekornie stosowane miny i ruchy. Ale i to jest jedynie wartość chwilowa. Co do Eugeniusza Kamińskiego (Pantagruela), padł on ofiarą kostiumu chyba nie ułatwiającego wykonywanie zadań. W rolach kobiecych, raczej epizodycznych, występują aktorki o znanych nazwiskach: Jolanta Hanisz, Olga Bielska, Wiesława Niemyska, jak również Nikolina Genowa.

Jeden jeszcze moment utrudnia zadanie twórców spektaklu. Śmiałość słownictwa działała ożywczo w chwili powstania dzieła, a nawet w momencie, gdy Boy z entuzjazmem przyswajał je polszczyźnie. Dziś używanie szokujących słów należy do stałego rytuału literatury. To ostrze się już stępiło. Rabelais brzmiał niemal umiarkowanie. Nie do tego jednak stopnia, by nas zaskakiwał swą nieoczekiwaną powściągliwością, czy umiarem. Może trzeba jeszcze poczekać?